

Zdzisław Beksiński

Na końcu ogrodu¹

Leżą pod dachami z liści łopianu, w trawie, moczarach, na polnej drodze i pod asfaltem autostrady. Co roku pierwsze promienie wiosennego słońca, pierwsze upalne dni kwietnia, zieleń, kwiaty i wilgotna ziemia wypędzają mnie na to osobliwe tournée. Zimne poczekalnie dworcowe, pełne przeciągu autobusy, potem zaś otwiera się przed mymi oczyma jeden z tych znanych ze wszystkich snów i ze wszystkich wspomnień krajobrazów, w którym pierwsza, dzika, pełna parujących soków wegetacja roślinna miesza się z włosami moich zmarłych. Leżę w trawie i wśród akompaniamentu bzyczeń, szumów – wydaje się, że i promienie słoneczne emanują cichy, monotony dźwięk – usiłuję przypomnieć sobie, o czym wtedy rozmawiali.

Potem idę na koniec ogrodu, gdzie leżą zmarli. Na końcu ogrodu, rozumie pan, nie ma żadnego domowego cmentarza, po prostu stoi altanka i betonowy tarasik, na którym zwykle opala się mój brat. Teraz jednak jestem przekonany, że na końcu ogrodu znaj-

1 Tekst jest fragmentem książki Zdzisława Beksińskiego [2015] pt. *Opowiadania*.

duże się grób – jeden lub kilka. Tak, jeden lub kilka. Nawet nie wiem, czy zdawałem sobie wtedy sprawę, że należy odróżnić, czy znajduje się tam jeden grób, czy też kilka grobów, może wspólna mogiła; nie wiem, czy to zresztą jest ważne. Proszę powiedzieć, czy to jest ważne.

Mów dalej, wszystko jest ważne. Mów tak, jak myślisz. Mów także o wszystkich wątpliwościach, jakie przychodzą ci do głowy w związku z twoją relacją. Ważna jest i sama relacja, i wszelkie wątpliwości. Mów dalej.

Więc na końcu ogrodu znajduje się duży grób lub też kilka grobów; może nie grobów, może znajduje się tam mogiła. Określenie „mogiła” wydaje mi się bardziej adekwatne niż słowo „grób”. Tak jak niemiecki „Kirchof” jest chyba lepszym słowem niż „cmentarz”. „Kirchof”. Albo „churchyard”. To po angielsku. Przychodzi mi też do głowy słowo „monastyr”. To znaczy po rosyjsku „klasztor”. Rosjanie mówią to, przeciągając: „manastyyyr”. Dlaczego przyszło mi do głowy słowo „manastyyyr”? Ponieważ nie wiąże się ono z mogiłami na końcu mego ogrodu. Więc na końcu ogrodu znajdują się mogiły. W mogiłach tych znajdują się ludzie, których chyba znam. Idę na koniec ogrodu. Mrok rozpościera się nad ziemią, ale jest to dziwny mrok, pokrywający ziemię do wysokości trawy. Trawa, glina, chwasty, łopiany, patyki koraliny są mroczne, jak przysypane grubą warstwą pyłu węglowego. Mrok panuje nad samą ziemią. Niebo natomiast jest stosunkowo jasne, pokryte czerwienią zachodu. Zachodu czy wschodu? To ciekawe. Jestem przekonany, że niebo pokryte jest czerwienią zachodu, ale ta czerwień – uzmysławiam sobie to teraz – leży po wschodniej stronie ogrodu. Proszę mi powiedzieć. Powiedz mi, co w takim razie jest ważne: to, co sobie wtedy uzmysłowilem, czy to, co było, to znaczy to, co sobie teraz przypominam?

Mów dalej, wszystko jest ważne. I to, co sobie przypominasz, i to, co sobie wtedy uzmysłowileś. Mów dalej.

Idę na koniec ogrodu, gdzie znajduje się mogiła, w której leżą zmarli. Ja znam chyba tych zmarłych, ale nie potrafiłbym ich nazwać. Nie wiem, czy leżą w tej mogile od dawna, czy dopiero od kilku dni. Zdaje się, że leżą od kilku dni, bo obawiam się fetoru rozkładających się zwłok. Zdaje się, że leżą już niesłychanie długo,

bo zastanawiam się, czy korzenie drzew, które w tym czasie rozprzestrzeniły się dookoła i w głąb, nie będą stanowić przeszkody w ich wydobyciu.

W trawie, przy samej ziemi, kilka zorganizowanych w brygadę roboczą mrówek ciągnie zdechłego pająka. Żar słońca, brzęk owadów, wszystko zlewa się w monotonna, usypiającą muzykę.

Na końcu ogrodu jest miejsce, w którym leżą zmarli. Zaraz za płytą betonową, na której lubiłem się opalać. Mrok jak ciemny gaz, cięższy od powietrza pokrywa brudną kołdrą trawę i kwiaty, patyki krzewów, liście łośpucha. Nie wiem, czy zmarły jest jeden, czy jest ich kilku. Leżą w tym miejscu, gdzie za płytą betonową mój ojciec, gdy byłem jeszcze mały, pochował mojego psa. Pies nazywał się Miki. Zdechł, zdaje się, na zapalenie płuc. Może zresztą się mylę. W tym miejscu w ogrodzie jest od trzydziestu lat małe zagłębienie zarosłe chwastami i zielskiem. W dzieciństwie nie lubiłem tam chodzić; gdy przypadkiem zapędziłem się za płytę betonową i za krzak derenu, gdzie znajdowało się zagłębienie, zwalniałem bieg i uspokajałem oddech. Wokoło panowała wilgoć, mrok rzucany przez dereń i cisza, którą dziś nazwałbym ciszą śmierci. Minęło trzydzieści lat i mój ojciec już dawno nie żyje, ale zagłębienie na końcu ogrodu, tam, gdzie leżą teraz zmarli, jest stale widoczne. Myślę, że będzie widoczne jeszcze długo po mojej śmierci. Nie raz przyłapuję się na myśli, że chciałbym wziąć łopatę i rozkopać anonimowy grób ukryty pod zagłębieniem. Nie wiem, czy pcha mnie do tego podszyta seksualnością ciekawość śmierci, masochistyczna rozkosz bezpośredniego zetknięcia z destrukcją przemijania, czy też tęsknota za utraconym dzieciństwem, które zakopane zostało wraz ze zwłokami psa.

Mrówki mają teraz przed sobą do przekroczenia źdźbło trawy. W górze, nad nimi i nade mną, niesłychanie wysoko słychać dźwięk przelatującego samolotu. Podnoszę wzrok ku niebu. Samolot jest niesłychanie wysoko i gołym okiem dostrzec można jedynie cienką na początku i rozwiewającą się po kilku kilometrach w drobne baranki smugę kondensatu. Człowiek, który

prowadzi samolot, i ludzie, którzy się w samolocie znajdują, nie wiedzą o moim istnieniu nawet tyle, ile wiem ja o mrówkach niosących zdechłego pająka. Opuszczam wzrok na trawę. Mrówki nie pokonały jeszcze zagradzającego im drogę żdźbła. W czasie, w którym samolot przeleciał odległość dwudziestu kilometrów, mrówki nie uczyniły właściwie ani kroku naprzód. Wszystko jednak wskazuje na to, że nie zostawią zdechłego pająka, lecz będą się męczyć dalej.

Chciałbym uwierzyć, że masz rację. Mówię „chciałbym”, bo nie wierzę. Teraz chciałbym mówić dalej.

Mów dalej. Cały czas słucham. Mów dalej.

Jest długie, rozpościerające się aż po granicę zarośniętych lasem górze pole. Obecnie stoją tam domy, osiedle mieszkaniowe, ale w moich snach wracam do pola z czasów dzieciństwa, a może do jakiegoś innego pola, które widziałem w trakcie jednej ze swych podróży. Nad polem wznosi się czarny sufit nocnych chmur. Ten czarny sufit z góry i stosunkowo jaśniejsze, lecz mimo to również ogromnie ciemne pola z dołu tworzą tunel; coś na kształt olbrzymiej szuflady, otwartej z jednej strony, po której właśnie stoję, i zamkniętej gdzieś daleko, w miejscu zlania się czerni chmur i ciemnego brązu pól w jednolitą, nieprzenikloną ciemność. Jestem na początku szuflady; to znaczy w chwili, którą już sobie przypominam, jestem na początku szuflady i prawdopodobnie mam podążać w kierunku prowadzącym w głąb szuflady. Odczuwam niesłychany wprost strach, łaskoczącą włosy i zaciskającą gardło trwożę. Gdzieś w głębi szuflady płonie światło. Jest to chyba światło domu. Być może światło to nie jest elektryczne. Jest to raczej świeczka, a może lampa naftowa. Wydaje mi się, że stoi ona bezpośrednio na trawniku, w ukryciu drzew, rzucając od spodu na liście słabe, pełgające niespokojnie odbłaski. Nie wiem, czy to dobrze przedstawiłem. Na ziemi leży śnieg i światło pali się w śniegu. Jest chyba zima, jestem stale we wnętrzu szuflady, tylko że teraz nie mogę się już cofnąć. To wraca wiele razy. Czasem idę w poprzek szuflady. Czasem stoję i zastanawiam się, jak osiągnąć cel znajdujący się na terenie szuflady. To wraca wiele razy. Cel nigdy nie leży poza granicami szuflady. Wydaje mi się, że nie ma

niczego, co znajdowałyby się poza jej granicami. Poza tym jestem w trakcie mych podróży zupełnie sam i sądzę, że domy, pełgające światelka i wydeptane trakty, do których dążę, są również niezamieszkane, bezosobowe, anonimowe, nieuczęszczane, [że to] fatamorgana, złudzenie, iluzja w iluzji, sen w marzeniu sennym.

Zimny, pełen przeciągów i nieokreślonych hałasów peron. „...odchodzi z toru dwunastego przy peronie szóstym, proszę wsiadać, drzwi zamykać, powtarzam, pociąg pospieszny do...”

Mam dopiero siedem lat. W pokoju na końcu amfilady nie pali się światło i gdy idę po zostawione w pokoju zabawki, przejść muszę przez sześć nieoświetlonych pokoi. Wylączniki światła są na wysokości półtora metra. Nie mogę do nich dosięgnąć bez dostawienia do ściany krzesła lub stołeczka. Za poręczami krzeseł, pod blatami stołeczków czekają na mnie złośliwe krasnoludki. Małe stworzonka o nieokreślonym kształcie. Gdy po omacku szukać będę krzesła, mogę dotknąć jednego z nich. W ciemnym otworze, w ciemnej szczelinie za piecem goreje dwoje oczu, na pewno goreje dwoje oczu; nie mogę obrócić głowy, bo je zobaczę. Nie mogę obrócić głowy, bo je zobaczę, a jednak muszę obrócić głowę i muszę je zobaczyć. Śni mi się, jak idę z ojcem do parku. Po prawej stronie, w bocznej alejce rośnie krzew orzecha laskowego o czerwonych liściach. Wokół krzewu panuje cisza i wilgotny półmrok. Dziś w parku nie ma czerwonego drzewa, na tym miejscu spostrzegam wielką szeroką budowlę o jego kształcie. Budowla pokryta jest całą czarnym lśniącym materiałem, jakiego Żydzi używają na chałaty. Ojciec mówi, że coś w parku czeka. Strach jak wielki ciepły kawałek mydła wtłacza mi się do gardła. Babka trzymała zawsze w szafie włoskie orzechy, daktyle, papierosy machorkowe dla żebraków; gdy umarła, jej strój, którego używała do pracy w ogrodzie, wisiał przez rok w piwniczce na narzędzia i gdy przeskukiwałem jego kieszenie, rozlał się z wilgoci i pleśni w palcach. Czarny materiał skradziony babce, którym pokryta była leszczyna w parku, przyśnił mi się jeszcze później, gdy już byłem żonaty i mój najstarszy syn liczył sobie siedem lat. Kobieta wiejska o nieruchomej, lecz znajomej twarzy i w nieokreślonym wieku, w uszytej z tego materiału

sukni stała na schodach prowadzących do domu i na jej widok zawylem ze zgrozy, budząc się z bijącym sercem.

Co roku przemierzam tę samą trasę. Gdy patrzę teraz z pociągu na puszystą zieleń pól, wyobrażam sobie, że z wagonu zwisa długa lina. Chwytam tę linę i rzucam się w fale zieleni, mknąc za pociągiem zawieszony jak szczupak na końcu wędzidła. Pod moimi wyciągniętymi rękami rozczesuje się trawa, krzewy, młode zboże, cała twarz piecze mnie od tysięcy lekkich, tysięcy szybkich, oczyszczających uderzeń; wkopuję się w ziemię, rozcinam ją rękami jak masło, wwiercam się w nią jak dżdżownica...

Mów dalej.

Czasem są pola owiewane wiatrem i pocukrowane cienką powłoką śniegu. Wiatr przegania jego nieliczne, twarde, sypkie płatki, które zbierają się w zagłębieniach terenu, na listkach trawy, na zeschniętych porozrzucanych badyłach. Jestem tu chyba ze znajomymi, może z kolegami ze szkoły. Jest także chyba i mój brat. A więc żyje! Wydaje mi się, że jestem o wiele młodszy. Nie wiem zresztą, czy jest to wrażenie odniesione w pełni bezpośrednio, czy też spowodowane faktem obecności brata i kolegów. W pewnej chwili oni odchodzą, może zresztą nigdy ich nie było, a od samego początku istniała tylko świadomość, że przed chwilą odeszli. Przeszłość jest ciemna. Nie mogę więcej dostrzec. Nie wiem, skąd tam się znaleźliśmy. Wydaje mi się, że jest to pole obok domu jednego z moich kolegów, gdzie bawiliśmy się, gdy miałem lat dwanaście. Na tym polu jest skarpa. Skarpa ta jest ciemna i to znaczy, że jest ciemniejsza od pobielonych pól. Nie ma na niej trawy, są w niej zakopane jakieś skrzynie, które erozja wiatru i inne niewyjaśnione czynniki częściowo odsłoniły. Może zresztą nigdy nie były zakopane dość głęboko. Nie wiem. Nie wiem, co mają oznaczać skrzynie. Są częściowo przegniłe lub połamane. Jest coraz ciemniej. Czuję coś w rodzaju ogromnego zniechęcenia, niesmaku, zupełnej beznadziejności, zatrucia jakimś dziwnym gazem. W miejscach, w których skrzynie są zniszczone, widać czarną czeluść wnętrza, która zdaje się sięgać do środka ziemi. Twarde płatki śniegu, które nanosi wiatr, wirują nad tą czeluścią;

wciągane do wewnątrz, osiadają na krawędziach otworów, na wystających z ziemi brzegach skrzyń, by, porwane następnym podmuchem wiatru, uciec gdzieś dalej jak białe owady przyciągane przez chłód i mrok.

Teraz patrzę na drzewa. Cała polana tętni życiem. Wszędzie za zasłoną drzew są moje ogrody, wszędzie włosy zmarłych rozwiewają się w podmuchach wiatru, omiatając nieruchome czoła i zarośnięte kwiatami oczy.

W dzieciństwie wierzyłem w istnienie lochów. Lochów ukrytych pod starymi zrujnowanymi klasztorami, lochów drążących lasy, lochów podkopujących szerokie rzeki. W lasach tupaliśmy silnie nogą w igliwie i wydawało nam się, że słychać dudnienie. Patrząc na rzekę z mostu, wiedziałem, że wiry powstają w wyniku uciekania wody przez nieszczelności w sklepieniach lochów. Raz, patrząc z mostu, zauważyłem u podnóża przęśla biały, zniekształcony przez załamanie światła w płynącej wodzie przedmiot. Wyglądało to jak zwłoki dziecka, a może psa. Widać było żebra, może zresztą fantazja dodała nieistniejące szczegóły. Między otworami żeber a powłoką niesłychanie białej skóry czy mięsa widać było ciemne rozpadliny wnętrza, do których wpływały i [z których] wypływały ryby. Mech rzeczny porastający gęstym lasem dno rzeki spletał się i rozplatał na białych, drgających w rytm fali członkach. Chodziłem codziennie nad rzekę i patrzyłem z mostu, jak zmienia się pies leżący na dnie. Potem przyszła zima i lód pokrył rzekę i psa. Czekałem wiosny i roztopów. Gdy jednak lód ruszył i oczyściły się wody, nie było już psa u podnóża przęśla. Odczułem naprzód rozczarowanie, potem zaś ulgę. Nie musiałem już na niego patrzeć; jednak od tego czasu nienawidziłem rzeki i kąpieli. Sądziłem, że pies czeka na mnie na dnie rzeki, pod mętnym lustrem wody, w cichej pościeli namułu, poza zarośniętymi mchem głowami. Mimo iż minęło wiele lat, myślę, że pies czeka na mnie nadal.

Wejście do ogrodu jest za zasłoną drzew. Na końcu ogrodu, pod liśćmi łopianu jest cichy, wilgotny kąć. Wokoło leżą gnijące gałązki, spleśniałe badyle, pod zimnymi kamieniami uwijają się rojce robac-

twa. Niedługo odchodzi autobus. Szeleszcząc butami w chwastach wśród trzasku łamanego chrustu, oddalam się od ogrodu.

A kiedy indziej idę ulicą. Chyba jest to ten sam nastrój, ten sam klimat psychiczny. Nie wiem zresztą, jak uważasz. Sądzę, że to także jest ważne. Zresztą może mi się tylko tak wydaje. Więc idę ulicą, jest to ulica nieznanego mi miasta. Wokół jakieś ruiny i rusztowania. Ulica jest ciasna. Jest tak ciasna, że muszę się przepychać, aby móc zdążyć. Ściany domów, rusztowania zaciskają się po obu stronach, przejście wynosi zaledwie pół metra, może jest jeszcze węższe. Odczuwam niepokój, strach. Strach, którego nie chcę okazać. Ta dzielnica to getto, stare getto w nieznanym mi mieście. Brodaci Żydzi wyglądają z okien. Może nie wyglądają z okien, tylko przemykają za rusztowaniami. Czuję sieć spisku. Dosłownie sieć spisku. Rusztowania są tak gęste, że z trudnością, jak wąż, pochylając się, prześlizgując pomiędzy nimi, mogę podążyć naprzód. Widzę jednak, że im dalej się posuwam, tym bardziej gęstnieją rusztowania, tym bardziej ciemnieje i zwęża się ulica. Nie mogę się cofnąć; nie wiem właściwie dlaczego, lecz nie mogę się cofnąć. Może droga odwrotu została odcięta, a może mam jakiś cel przed sobą. Nie potrafię tego dokładniej sobie uzmysłwić. Wiem tylko jedno: nie mogę dać poznać po sobie, że się boję. Zresztą i tak nie ma najmniejszej drogi ratunku. Wtedy się budzę. Nie jestem przecież antysemitą. Wiesz, że nie jestem antysemitą. Dlaczego boję się starych Żydów, których już nie ma? Nie są to starzy ludzie, nie są to starcy. Widzę w nich tylko wrogów, niepokonane prawa natury. Bezwzględna, obcą siłę. Biorą katolickie dzieci, wsadzają do beczki nabitej gwoźdźmi i obracają beczkę. Krwią nasycają białe prześcieradła. Po jednej nitce z każdego prześcieradła dodają do macy. Czy te sny wyjaśnić można jedynie czystym strachem? Czy istnieje czysty strach? Musi istnieć strach przed czymś. Nie boję się przecież starych Żydów wymordowanych w czasie wojny. Dlaczego boję się ich we śnie, dlaczego oni nienawidzą mnie we śnie i pragną mnie schwycić w swoje ręce? Nie jestem dzieckiem, jestem dorosłym, który nie wierzy w beczkę nabijaną gwoźdźmi. Może to nie lęk przed Żydami? Może Żydzi symbolizują starość i śmierć? Czy mówić dalej?

Mów dalej, słucham.

Ulica, którą podążam, zabudowana jest starymi domami i ruinami. Dlaczego wokoło znajdują się ruiny? Dlaczego znajdują się rusztowania? Przychodzi mi do głowy słowo „moloch”. Być może jest to słowo „loch”. Lochy. Piwnice, gdzie błądzi się w poszukiwaniu zmarłych, których białe, wymoczone w wodzie zwłoki spoczywają na którymś z zakrętów. Między żebrami widać czarne otwory. Wnętrza piwnic są ciemne, korytarze prowadzą w nieskończoność. Korytarze zbudowane są prawdopodobnie okrężnie i ich obwód się zamyka. Zwłoki mojego brata leżą na betonowym tarasie.

Wszędzie wokoło znajdują się te ogrody. Autobus pędzi korytarzem stworzonym przez topole. Takie same topole rosły u nas, gdy jeszcze byłem mały. W żywopłotach czają się ukryte cienie ogrodów i zaniedbane domy.

W mieście była jedna ulica, której nie mogę obecnie znaleźć. Nie przychodzi [ona] obecnie na myśl chwil szczęścia, nie budzi smutnych wspomnień. Jestem teraz na ulicy mojego dzieciństwa, w której brzmi echo spraw zapomnianych, niebyłych dramatów, jakichś dziwnie melancholijnych przeżyć. Nie wiem, po której stronie miasta jest ta ulica. Być może przechodzę nią codziennie, ale dawne proporcje uległy zmianie, powstały nowe domy, wycięto drzewa. Może ta ulica była w innym mieście. Może była we śnie. Willowe domy o zniszczonych, splukanych przez deszcz secesyjnych fasadach, zarośnięte winem ogrody, pokryte winem mury i sztachety. Stare bramy z prętów stalowych. Stary człowiek w jednym z pokoi. W pokoju wisi obraz przedstawiający odwrót spod Moskwy. Zwłoki pokryte śniegiem. Fortepian. Kolekcja kaktusów. Stary człowiek rozmawia o czymś z moim ojcem. W mieszkaniu panuje mrok. Na jednej z półek leży rysunek. Widać rozkopany grób, nad którym stoją trzy kobiety o dziwnie podniesionych od przodu sukniach. Nie rozumiem, co oznacza ten obrazek, ale boję się spytać o to ojca. Wydaje mi się, że nie otrzymałbym odpowiedzi, a obrazek zostałby schowany. Ojciec odebrał mi raz zdjęcie nagiej kobiety, a trzy kobiety na obrazku starego pana mają bar-

dzo wysoko uniesione suknie. Wewnątrz, w grobie, leży związany mężczyzna w białej potarganej koszuli. Obrazek ten jest zupełnie niezrozumiały, lecz na tyle sugestywny, że widzę go jeszcze dziś. W dniu, w którym mój brat utopił się podczas kąpieli w basenie, myślałem o tym obrazku, a potem, gdy ksiądz podnosił w kazaniu posłuszeństwo, pilność i miłość do rodziców i rodzeństwa zmarłego, widziałem przed oczyma tylko ten obrazek: mężczyznę w grobie i trzy kobiety. Nie pamiętam już zupełnie starego pana, u którego byliśmy na tej zarośniętej winem ulicy. Mimo iż obrazek mam przed oczyma do dziś tak dokładnie jak w dniu, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, nie potrafiłbym poznać starego pana z ulicy snów. Być może zresztą już nie żyje. Z wiekiem, dopiero po upływie wielu lat, domyśliłem się, że umyślnie umieścił on dziwny obrazek tak nisko na półce, by nie dostrzegł go mój ojciec, lecz bym dostrzegł go ja.

Leżę w trawie z głową zwróconą w kierunku nieba i patrzę na krążące wysoko jaskółki. Przypominam sobie, o czym mówili wtedy. Przypominam sobie z trudem fragment po fragmencie, lecz i tak pamiętam zaledwie okruchy, bezużyteczne szczątki, niedojezione przez czas resztki.

Idę ogrodem, parkiem lub cmentarzem. Jest lato. Pełnia lata. Niesłychanie silny zapach liści, mokrej trawy, gnijących w zielonym tłoku badyli. Oświetlające wszystko poprzez raster liści promienie słońca nie są w stanie rozświetlić moich myśli. Zdaję sobie sprawę, że muszę przebyć część cmentarza; sądzę, że to cmentarz, ale nie mógłbym zastosować tu słowa „churchyard”; słowo to nie określa tego, co znajduje się teraz wokół mnie. Nie mógłbym także użyć twardego niemieckiego słowa „Kirchhof”. Nie jest to chyba także cmentarz. W niesłychanym natłoku liści, badyli, jakichś kolorowych ciężkich ptaków, olbrzymich tropikalnych motyli, tłustych gorących liszek, ślimaków, komarów – znajduje się miejsce, do którego nie powinienem się udawać, lecz do którego właśnie, pchany jakąś dziwną ambiwalencją, wbrew woli podążam. Nie wiem, jak wygląda to miejsce; wydaje mi się, że jest to chyba grób, grobowiec. Nie wiem, czy ten grobowiec jest otwarty, czy zamknięty; czy jest

z kamienia, czy tylko z betonu; może jest zbudowany z drzewa, ze starego zmurszałego drzewa, a między deskami prześwitują czarne głębokie otwory. Może mówię zbyt wiele, mówiąc równocześnie zbyt mało. Nie wiem, czy odczuwam to we śnie tak jak w tej chwili. Sądzę, że jeszcze nie opisałem tych stanów tak, jak one wyglądają. Czy mam jeszcze mówić?

Mów dalej.

Błądzą po tym cmentarzu całe drżące od upału dnie; gdy już jestem przy wyjściu, wracam mimo woli czy też dobrowolnie – nie potrafię tego określić – w parującą lepkiem gorącym aleję, w której znajduje się to, czego nie powinienem widzieć. Wiem, że nie powinienem tego widzieć, lecz nie wiem dlaczego. Wiem także, że muszę to zobaczyć i na samą myśl o tym strach rozmiękcza mi nogi i klei podeszwy do ścieżki. Złe określenie. Nie mam podeszew. W tej chwili uzmysłowiłem sobie, że jestem boso i że stąpanie po gorącej, soczystej trawie połączone jest z niesłychanym obrzydzeniem. Tak, „obrzydzenie” to jest słowo, które najdokładniej oddaje stan, w jakim się teraz znajduję. Obrzydzenie połączone ze strachem. Wrażenie, jakiego doznajemy na widok pająka, lecz z jednej strony niesłychanie wysubtelnione, z drugiej – powiększone do olbrzymich rozmiarów. Jestem nie tylko boso, jestem także nagi, ubrany jedynie w strój kąpielowy, i na całym ciele odczuwam plu-gawę muśnięcia liści, motyli, kwiatów, które w zetknięciu ze mną okazują się wykonane z jakiejś zwiotczalej, nabrzmiałej procesem gnilnym substancji. W ustach czuję smak tej substancji. Jama ustna jest pełna czegoś niesłychanie obrzydliwego; czegoś, czego kwintesencją będzie to, co oczekuje mnie w miejscu, do którego dążę.

Nie pamiętam już nic. Leżę zasłuchany w szum wiatru i widzę, jak obłoki nad moją głową układają się powoli w kształt, który naraz przypomina mi wszystko w ostatnim momencie, na granicy snu.

Idę wewnątrz szuflady pod sufitem zbudowanym z czarnych, stojących nisko obłoków. Tam daleko, w zupełnej głębi, w ciemności – pali się światło. Są Zaduszki i cmentarz jest zupełnie pusty, jestem tylko ja i to jedno światło, którego odbłaski pełzną podniebieniami liści. Światło pali się wewnątrz, w zagłębieniu zapadnię-

tego grobu, który znajduje się w ogrodzie. Leżą tam zmarli, których muszę odwiedzić. W ogrodzie, w zagłębieniu trawnika, leży padlina psa utopionego w rzece. Dlaczego pies nie czeka na mnie na dnie basenu kąpielowego? Gdy wydobyto mego brata, myślałem o zagłębieniu w głębi ogrodu i widziałem trzy kobiety stojące nad grobem. Teraz jest ciemno, idę wzdłuż szuflady. W górze słyszę gwizd samolotu. Mrówki wloką zdechłego pająka. Wielkie tłuste śliskie ryby ocierają się o moje ciało. Mój brat leży na betonowej płycie basenu; woda załamuje promienie słońca odbijające się od jego żeber.

Bibliografia

Beksiński Zdzisław (2015), *Opowiadania*, wybór i opracowanie krytyczne Tomasz Chomiszczak, BOSZ, Olszanica.